

zjawisko synestezji moglibyśmy uznać za chiasm (chodzi wszak o widzenie dźwięków czy słyszenie kolorów); niezwykle ważne dla wywodu, raz po raz powracające zestawienie słów *sôma* i *sema* – na nim wszak opiera się podstawowy dla książki koncept ekwiwalencji ciała i znaku – to paronomazja. Dyskurs Dziadka jest w ogromnym stopniu zależny od retoryki: mówimy tu wszak o podstawowych założeniach i pojęciach operacyjnych. Nie chodzi o to, by tego uwikłania w retoryczność uniknąć – o daremności tego typu dążeń nie trzeba tu przypominać – ale by z tego uwikłania zdać sprawę. Krytyka somatyczna tego nie robi⁷.

Tak dochodzimy do fazy Ricouerowskiego postrozumienia i jednocześnie do końca tych rozważań. Książka Adama Dziadka częściowo uśmierzyła obawy, o których pisałem na początku, a pokładane w niej nadzieje spełniła połowicznie. Gdybym nie znał wcześniejszych dokonań autora, pewnie uznałbym teorie dotyczące rytmu, podmiotu czy lektury anagramatycznej za fascynujące i odkrywcze, byłbym zachwycony sposobem, w jaki czytane są tu teksty Wata. Ale je znam. Fakt, że Adam Dziadek powtarza swoje dawne pomysły i sądy (w mniej więcej jednej trzeciej zawartości *Projekt*), nie dodaje książce wartości. Z drugiej strony, propozycja badacza naprawdę zasługuje na miano „projektu krytyki”: precyzyjnie definiuje własne pojęcia, daje czytelnikowi zestaw narzędzi, przy pomocy których może on na własną rękę interpretować teksty literackie (nie tylko poetyckie zresztą), wypracowuje strategie, dzięki którym będzie można w przyszłości przyglądać się twórczości innych pisarzy. Ta książka, podobnie jak wszystkie poprzednie prace autora *Obrazów i wierszy*, pomaga wyrobić w sobie pewną szczególną wrażliwość na pisarski idiom, na pojedynczość, niepowtarzalność głosu twórcy, na to, co Derek Attridge nazywa jednostkowością literatury⁸, która to jednostkowość – dodaje Dziadek – zawsze wiąże się ze sferą somatyczności, z pojedynczością ciała, które pisze, i pojedynczością ciała, które czyta. Badacze zajmujący się problemami somatopoetyki znajdą tu treści pomagające zrewidować ich poglądy, budzące polemiczną pasję. Dla wszystkich innych czytelników *Projekt krytyki somatycznej* będzie dobrym wprowadzeniem w zagadnienia cielesnego wymiaru dzieł literackich.

Michał Bandura
(Uniwersytet Warszawski)

KOŁYSANKA CZY EMERGENCJA?*

Książka Katarzyny Wądołny-Tatar *Kołysanka w liryce XX i XXI wieku. Emergencja gatunku literackiego* spełnia wymagające kryteria monografii naukowej.

⁷ Można na rzecz spojrzeć z innej jeszcze strony i zwrócić uwagę na to, jak retoryka cielesności (w tekście literackim i krytycznym) spleta się z fenomenem cielesności retoryki. Sygnalizuję tu tylko ów aspekt zjawiska: jego rozwinięcie oddaliłoby nas zbyt mocno od omawianej książki.

⁸ Zob. D. Attridge, *Jednostkowość literatury*, przeł. P. Mościcki, Kraków 2007.

* K. Wądołny-Tatar, *Kołysanka w liryce XX i XXI wieku. Emergencja gatunku literackiego*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2014, 408 s.

Diagnoza ta jest oczywista. Potwierdza ją moja lektura, potwierdzają recenzje wydawnicze Anny Czabanowskiej-Wróbel i Zbigniewa Chojnowskiego. Przywołuję te oczywistości, by czytać *Kołysankę*... niezależnie od nich, by móc pozwolić sobie na wątpliwości, które nie tyle kwestionują wartość opracowania Wądołny-Tatar, ile korzystają z możliwości dialogu, jaki ono stwarza.

KULTUROWO-GENOLOGICZNY PUNKT ODNIESIENIA

Na początku jest postmodernizm jako stan kultury determinujący kondycję genologii. W kontekście tym umieszczona zostaje kołysanka, gatunek, który mimo ludowej, folklorystycznej etiologii dobrze sobie radzi w ponowoczesnych, zurbanizowanych czasach. Dwa poprzednie zdania przywołują kompozycyjne otwarcie oraz inicjalną zawartość książki. Każde z nich jest okazją do nawiązania rozmowy. Korzystając z niej, napiszę, że moim zdaniem postmodernizm się kończy, a decydują o tym nie tyle jego krytycy, ile sami postmoderniści. Przede wszystkim przedstawiciele tak zwanej późnej lewicy oraz wspierający ich Žižek jako autor *Kruchego absolutu*... czy Badiou ze swoim *Świętym Pawłem*... To nie jest bez znaczenia dla genologii. Rekonstruowanej. Owszem, nie da się z literackiej świadomości autorów i czytelników wyeliminować labiryntu biblioteki, narażonej na banalizację intertekstualności czy narastającej transdyscyplinarności, ale opisując genologię w przebudowie akcentowałbym jej nowy stan, nastawiony na (re)konstruowanie, na przykład takie, które w związku z gatunkami i rodzajami literackim odwołuje się do kategorii naturalnych, antropologicznych, żeby nie było wątpliwości: obecnych w książce Katarzyny Wądołny-Tatar, i to nie tylko w części pierwszej, zatytułowanej *Kołysanka w ujęciu teoretycznym*. Tak, chodzi mi o nieco inne rozłożenie akcentów, wynikające – co najważniejsze – z traktowania postmodernizmu jako dynamicznego, zmieniającego się stanu kultury, a nie jako magazynu użytecznych narzędzi, kontekstów czy etykiet. Z drugiej strony, czy postmodernizm nie jest magazynem, jeśli trwa się przy przekonaniu, że on wciąż trzyma się mocno?

EMERGENCJA JAKO PROBLEM

Czy książka Wądołny-Tatar, ujawniając się jako ponowoczesna wersja tradycyjnej poetyki historycznej, więcej mówi o kołysance jako wciąż zmieniającym się gatunku, czy raczej wskazuje emergencję jako regułę genologicznego istnienia, coraz skuteczniej i powszechniej dominującą dzisiaj? Ostatnie zdanie książki zdaje się zawierać odpowiedź na moje pytanie. Autorka pisze w nim o kołysance jako strukturze emergentnej, rozszerzając tę opinię – zapisaną w nawiasie – na każdy gatunek literacki. Trudno jednak obronić tę finalną synekdochę *pars pro toto*. Kołysanka nie funkcjonuje w pracy na zasadach gatunku szczególnie predestynowanego do pokazania emergencji jako reguły konstytutywnie determinującej

współczesną genologię. A szkoda, bo takim gatunkiem jest. Świadczy o tym jej geneza, odwołująca się do sytuacji usypiania, uspokajania, utulania, do tego, co przekracza wyznaczone przez antropologię, pojemne granice relacji rodzic/opiekun – dziecko, wkraczając na obszar szeroko pojętej egzystencji. Obszar, którego tożsamość określa wielokrotnie przywoływany w książce związek kołysanki z napięciem między dniem i nocą, ale także życiem i śmiercią, czyli byciem w czasie, bardziej tu odpowiednim niż także Heideggerowskie Bycie-ku-Śmierci.

Sposób przywoływania postmodernizmu przez autorkę, a zwłaszcza korzystania przez nią z emergencji, sam w sobie nie jest problemem, ale szkodzi książce, ponieważ sprawia wrażenie strategii nie tyle (nie dość) uzasadnionej, ile wygodnej, usprawiedliwiającej nieograniczoną swobodę pisania o kołysance. Swoboda ta realizowana jest w drugiej i trzeciej części pracy. Najpierw (część druga) Wądolny-Tatar sięga po kołysankę dla dzieci, omawiając ją w adekwatnej perspektywie psychologii dziecięcej, przeglądowo oraz z punktu widzenia lektury wierszy Joanny Papuzińskiej. W części trzeciej, najważniejszej, zatytułowanej *Emergencja kołysanki w liryce XX i XXI wieku*, autorka potwierdza nieliniową, wieloaspektową, spektakularną ewolucję tytułowego gatunku w poezji Młodej Polski, dwudziestolecia międzywojennego, okresu wojny i okupacji, lat powojennych oraz czasów najnowszych, po roku 1989.

Kryterium historycznoliterackie porządkuje przede wszystkim początek opowieści. Dyptyk *Modlitwa na organy* Wacława Rolicza-Liedera stanowi oś relacji na temat kołysanek młodopolskich. Józef Czechowicz odgrywa główną rolę we fragmencie poświęconym kołysankom międzywojennym. Kołysanki z lat wojny i okupacji zostały opisane jako gatunek szczególnie ważny dla młodych twórców tego okresu, odpowiadający ich młodości funkcjonującej na granicy między utraconym dzieciństwem i wyrokiem historii skazującym ich na dorosłość. Potem, na zasadzie (ryzykownej) antytezy pojawiają się powojenne kołysanki, codzienne, a po nich, coraz dalej od historycznoliterackiej diachronii, autorka – posługując się kontekstem filozoficznym i religijnym – przywołuje kołysanki literackie pisane po to, by wrócić do tego, co utracone, co może kojarzyć się z niewinnością i bezpieczeństwem dzieciństwa, z antropologiczną homeostazą. Kolejne perspektywy, mniej egzystencjalne, odwołują się do gatunkowych form hybrydycznych, do geopoetyki, mikrologii literackiej oraz kołysankowych piosenek Jeremiego Przybory, Agnieszki Osieckiej czy Jacka Kaczmarskiego. Całość zamyka podsumowanie sprowadzające się do rozbudowanej, syntetyzującej zawartość książki definicji kołysanki.

Emergencja uzasadnia skokowe zmiany także w obrębie gatunków, ale jej reguły nie kwestionują porządku historycznoliterackiego, całości, jaką jest twórczość pisarza, ani nawet hierarchii wynikającej z konfrontowania dorobku różnych twórców. Chciałbym, żeby nowy, emergencyjny sposób genologicznej analizy skuteczniej radził sobie z tymi tradycyjnymi aspektami literaturoznawstwa. Wybór jednej perspektyw badawczej (emergencja) zawsze dokonuje się kosztem perspektyw innych (na przykład historia literatury), ale trudno mi się pogodzić na przykład z tym, że w książce Katarzyny Wądolny-Tatar powojenna codzienność prowokacyjnie prywatnych kołysanek Świetlickiego bez kolizji pojawia się obok opresyjnej codzienności zapisanej w nowofalowo opozycyjnych kołysankach Barańczaka, zwłaszcza tych spod znaku N.N., czyli obecnych między innymi w tomie *Sztuczne oddychanie*, który – kolejny problem – nie powinien być traktowany antytetycznie wobec cyklu o Panu Cogito.

Nie ma sensu wyluskiwać z książki fragmentów kontrowersyjnych na przykład z punktu widzenia historycznoliterackiej weryfikacji analizowanych utworów. Autorka i w tym zakresie wielokrotnie poświadcza swoje niekwestionowane kompetencje. Chciałbym tylko, by więcej w jej pracy było emergencji jako zasady współczesnego istnienia gatunków (motywowanej postmodernizmem coraz bardziej nieufnym wobec liberalnego sceptycyzmu), bo dzięki temu przestanie ona sprawiać wrażenie funkcjonalnej wymówki, pozwalającej pisać o kołysance w sposób nazbyt swobodny.

WZÓR NAUKOWEJ MONOGRAFII

Kołysanka w liryce XX i XXI wieku. Emergencja gatunku literackiego Katarzyny Wądołny-Tatar jest modelową monografią literaturoznawczą, której najważniejsze cechy to: skrupulatna dbałość o aktualność przywoływanych źródeł (kosztem klasyki, także genologicznej, wykorzystywanej w pracy) oraz język tak naukowy, że aż hermetyczny i, etymologicznie, ekskluzywny, wykluczający niespecjalistów. Dodałbym do tego powtarzalną kompozycję fragmentów/rozdziałów, eksponującą wprowadzenie, które przywołuje jakąś aktualną, a w każdym razie atrakcyjną propozycję intelektualną, na przykład o charakterze metodologicznym, omawianą tak długo, aż pojawi się możliwość skojarzenia jej z kołysanką. Przygotowane przez wprowadzenie rozdziały pełne są akapitów analityczno-interpretacyjnych. Ich zawartość to aktualny stan badań plus lektura własna autorki, o której można powiedzieć wszystko tylko nie to, że nie jest naukowa (język raz jeszcze!). Kolejne fragmenty zamyka podsumowanie, które zbyt często sprowadza się do ze wszech miar słusznego cytatu, mającego więcej wspólnego z wywołaną we wprowadzeniu perspektywą badawczą niż z wypełniającą rozdział lekturą kołysanek.

Wymienione cechy rozprawy to tylko schemat, językowa struktura wypełniona emergencją (gatunku), tyleż uzasadnioną, co niewystarczająco kontrolowaną i w tym właśnie znaczeniu – powtórzę eufemistycznie – nie dość dobrze służącą książce. Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie tak, czyli emergentnie (ze względu na emergencję) powinniśmy dzisiaj pisać o gatunkach i rodzajach literackich. Nie ma innego wyjścia w zdekonstruowanym świecie fraktali, w labiryncie biblioteki pełnym raczej niszczonej niż zgładzonych gatunków, które odbudowują się dzięki temu, co kognitywne i antropologiczne. A jeśli tak jest, bo kto powie, że jest inaczej, wówczas książka Katarzyny Wądołny-Tatar zasługuje na poczesne miejsce w muzeum literaturoznawstwa, w dziale prekursorzy badań koniecznych i właśnie dlatego kontestowanych.

Dariusz Kulesza
(Uniwersytet w Białymstoku)